

Rok 1983, czyli trzysta sześćdziesiąt trzy odsłony codzienności

Czasami trafia się na książkę, którą zwyczajnie chce się mieć. Z różnych powodów: dla nazwiska autora, dla propagowanej przez nią nowatorskiej teorii, dla barwności podjętego tematu, dla szaty edytorskiej czy dla prestiżu wydawnictwa (co, jak nam ostatnio uświadomiono, jest najistotniejszym kluczem doboru miejsca publikacji). Paradoksalnie najtrudniej dziś o książkę, którą chce się mieć dla jej słów. Szczęśliwie jednak ciągle są wśród nas czytelnicy, którzy szukają tekstów dla ich pojedynczych fraz, dla pomysłu ich konstrukcji, dla obrazowości, choć nie – nadmiaru modernistycznego gadulstwa, dla mówienia wprost za pomocą odsyłaczy do pokładów naszej pamięci, tożsamości, erudycji, która kiedyś została by zapewne uznana za zupełnie podstawową, a dziś zaczyna uchodzić za elitarną. I kiedy już trafi się na taki tom, to zwyczajnie chce się go mieć.

Jaka jest, czym jest książka, która cierpliwie czeka w szufladzie na swój czas przez grubo ponad ćwierć wieku? Żeby znaleźć dla niej odpowiednią formułę, można mówić o wielowarstwowości tekstu, jego swoistej palimpsestyczności czy mozaikowości. Waldemar Okoń, jak zawsze nieco z nutą przekory, twierdzi, że rzecz jest bardzo oczywista i bardzo prosta, do wieczornego poczytania od czasu do czasu, sięgnięcia do wybranego „dnia” i spotkania z niekiedy zabawną, niekiedy absurdalną, czasami smutną rzeczywistością jednej z trzech dekad PRL-u. Z pewnością, można i tak czytać tę książkę. Ale można też inaczej. *Rok 1983* to opowieść złożona, jak każda biografia, i zrozumienie tego, co podziało się w owym roku '83, co popchnęło Autora do stworzenia – jak sam pisze we *Wprowadzeniu* – „dygresyjnego dziennika”, który zgodnie z pierwotnym założeniem miał być „poetycką autobiografią”, wymaga od czytelnika świadomości istnienia szerszego kontekstu czasu, w który wpisana jest książka.

Poznawanie tomu odbywa się na kilku poziomach. Ma on swój wewnętrzny rytm, który został wykorzystany na poziomie wizualnego odbioru woluminu. Jarosław Danielak znakomicie oddał ukryty w treści książki jej graficzny potencjał. Bierzemy do ręki materiał wizualnie ascetyczny, żeby nie powiedzieć – wręcz przaśny, skromny kolorystycznie. Intencja grafika jest oczywista. Spotykamy się z *Rokiem 1983*, kiedy trudno było o cokolwiek. Szara tektura okładki odwzorowuje prosty planszowy kalendarz, wiernie odtwarzający dzienny układ wszystkich miesięcy. Do tego podziału odnosi się także formalna struktura treści: przysłowiowy jeden dzień z życia Autora to umowna kartka kalendarza pełnego różnych odniesień, nowinek, pytań, formuł na życie.

Nikt nie każde czytać tego prywatnego kalendarza życia jednym tchem. Pojedyncze karty dziennika są spójnymi, kompletnymi i pięknymi literacko całościami, ale nie znając wcześniejszych kart bądź poznając je jedynie wyrywkowo, nie pojmiemy w pełni, dlaczego dana karta życia została zapisana tak, a nie inaczej. Każdy z owych dni został ukształtowany przez poprzedni i wraz z zapisem, ze znalezieniem się w tej książce staje się preludium dnia następnego.

Intryguje proponowana przez Okonia forma gatunkowa tekstu. To autobiografia zamknięta w formie dziennika, a ten z kolei – jak sugeruje sam tytuł – zostaje ograniczony do rocznika. Chciałoby się w tym miejscu przywołać może jeszcze formę memoirów, ale w zasadzie nie są to wspomnienia, które powinny stanowić kanwę pamiętnika. Dlatego, że nawet kiedy Autor buduje pomiędzy kolejnymi dniami/latami linię genealogiczną swojej rodziny i wplata krótkie opowieści, tworząc szkicowe portrety antenatów, to pojawiają się one w książce przede wszystkim po to, żeby po raz kolejny udokumentować czy uprawomocnić konkretną kartkę z jego własnego życia, kalendarza na ów umowny rok 1983.

I to właśnie w związku z tym nieistotna okazuje się dla książki chronologia wprowadzonego do niej przez Autora rytmu pamięci, wspomnień poszczególnych postaci. Waldemar Okoń wielokrotnie powraca do wybranych osób, nie ustawiając ich w szeregu i nie hierarchizując ich znaczenia. Czuje się jednak w tych powrotach do przeszłości osobisty ukłon: to dzięki Wam tu jestem, Mamo, Tato, Babciu, Pradziadku... Jest tych osób wiele. Powroty do nich za każdym razem są inne, naznaczone nutą intymności i za każdym razem łączące się z jakimś mogłoby się wydawać mało istotnym szczegółem, drobiazgiem, bibelotem, który się pamięta albo o którym się wie, że istniał. Jak czerwona sukienka Mamy ubrana przez nią „w dzień urodzin” (*Dzień drugi*). Albo jak stolik „u wykwintnego fotografa”, o który opiera się na zdjęciu nieznanego Dziadek Michał (*Dzień piąty*). Albo jak nieoczekiwane pięć złotych na lody od Babci Karoliny (*Dzień ósmy*). A potem nagle Ojciec wyjeżdża do Korei, co boli tak bardzo jak drzazga, której nie można wyjąć (*Dzień jedenasty*), a za chwilę rodzina Łukasiewiczów (*Dzień sto pięćdziesiąty drugi*), obok Dziadek Okoń „pozujący na chłopa od Witosy” (*Dzień trzydziesty ósmy*) i Pan Szegda:

Sąsiad z pierwszego piętra [który – JB] pochyla się coraz bardziej, choroba kręgosłupa przygina go do ziemi, każe patrzeć w nią odczytywać z niej ukryte szyfry widoczne tylko dla niego. Nie może się już nikomu kłaniać, gdyż nie potrafi podnieść wysoko oczu głowy jednocześnie trwa w wiecznym pokłonie wobec siebie i schodów, po których wchodzi, na szczęście nie mieszka wysoko (Dzień sto drugi)...

To wszystko świadome wybory, których zawsze dokonuje się przy pisaniu o przeszłości, tu – przeszłości własnej, przeszłości rodziny, przeszłości przyjaciół czy tylko znajomych. Ale również przeszłości przestrzeni, w których dorastał, żył Autor. Bo zdecydowanie, obok samych ludzi, niemym bohaterem tej książki jest Wrocław – zmieniająca się topografia miasta od połowy lat 50. do niemalże połowy lat 80. I znowu objawiają nam się miejsca, które dla czytelnika mogą okazać się bardziej lub mniej interesujące, istotne bądź nie, pozwalające się rozpoznać bądź całkiem anonimowe (szczególnie dla tych młodszych odbiorców), ale dla Autora były/są miejscami wyznaczającymi kolejne dni, kolejne etapy jego życia. Między słowami daje się odtworzyć przestrzeń dzieciństwa, za którą oddalibyśmy dziś wszystko, nawet jeżeli – tak jak w przypadku bohatera tych wspomnień – ograniczała się do „dwóch pokoi z kuchnią”, ale wszak „w jednym pokoju zawsze świeci słońce, w drugim zawsze pada deszcz” (*Dzień sto jedenasty*).

Ta najbliższa przestrzeń rozlewa się najpierw na klatkę schodową i kultowe podwórko, na które zrzuca się piłkę przez okno trzeciego piętra, „żeby była na dole szybciej ode mnie”, gdzie bramki wyznacza się dwoma ceglami, gdzie rozbija się kolana (*Dzień osiemdziesiąty ósmy*), potem rozszerza się na niezapomnianą pierwszą drogę do szkoły.

Wśród topograficznych wyznaczników miasta pojawiają się nazwy placów, ulic, a pośród nich najpierw Nowowiejska:

Dom mojej pamięci nigdy niewidziany naprawdę [...]. Miałem dwa lata, gdy odeszliśmy od niego w inne bogatsze strony, od tej jedynej zachowanej kamienicy pośród zniszczenia, kwitnącej w girlandy i amory, kochające się na łąkach, ściany poroślej liszajami z podmokłego tynku. Najważniejszy był fryzjer często pijany od zapachu taniej wody kolońskiej i linoskoczek, rozpinający linę pomiędzy dachami sąsiednich posesji (Dzień trzeci).

Trafiamy nieco przypadkiem na Świdnicką, na której trzeba zrobić obowiązkowe zdjęcie w

drewnianym powoziku ciągniętym przez drewnianego konia o bujnej grzywie i rozdętych chrapach, w stroju krakowskim nabijanym cekinami (Dzień siedemdziesiąty piąty).

A potem coraz dalej, wychodząc poza tę jedną ulicę, przez Kościuszki i Traugutta, w końcu przenosząc się do innej dzielnicy. W przestrzeń miasta wpisywana jest codzienność, rozpoznawana z perspektywy człowieka dorastającego i dojrzewającego, postrzegającego

Życie składające się z przerwanych pasm leżącym obok siebie coraz wolniej i wolniej (Dzień drugi).

Interesujące jest to nakładanie się kilku perspektyw widzenia jednego miejsca, a bywa, że i tego samego zdarzenia. Czytelnik patrzy na Wrocław oczami najpierw małego dziecka, potem dorastającego chłopaka, w końcu dojrzałego mężczyzny, ale równocześnie na to spojrzenie zostaje nałożone specyficzne widzenie świata, które doskonale znane jest czytelnikom wcześniejszych poetyckich tomików Autora. Wiąże się z nim przede wszystkim sam język wypowiedzi, na który składa się ogromny pokład liryzmu, gruba warstwa erudycji i gęstość detali wcale nieoczywistych dla każdego. Nie jest to kwestia nadmiaru linearnej opisowości, a raczej przypominania sobie sposobu, w jaki przez trzydzieści lat życia powstawała prywatna, wręcz intymna ikonosfera, tworzone było własne *musée imaginaire*. Na poziomie języka książki czytelnik może próbować odszyfrować tę ikonosferę pośród wysyłanych w jego kierunku impulsów pojedynczych słów, haseł nieistniejących już neonów, nazw sklepów i organizacji, niekiedy całych kalamburowych fraz, strof wierszy, motywów obrazów, tytułów książek, filmów, płyt, propagandowych sloganów, ale istniejących w prywatnym muzeum wyobraźni nie jako pojęcia opatrzone cudzym słowem, a jako element ówczesnej codzienności, tak oczywisty dla Autora, że niepotrzebujący żadnego cytowania. Jest też w tej powszedniości moc istotnych dla całego pokolenia artefaktów, które tworzyły jego codzienność, za którymi się tęskni albo które się odrzuca, a które nic nie powiedzą młodym ludziom. To kolejna wyszukana gra z odbiorcą w posługiwanie się językiem polskim, ale już nie dla wszystkich zrozumiałym. W wyrafinowaniu tego języka ukryty jest cały labirynt przeszłej codzienności, tym bardziej frapujący, że pozwalający się przemierzyć tylko wtajemniczonym w takie relikty jak pozowanie do zdjęcia na tle pierwszego seledynowego trabanta, coś *à la Homolki* w plenerze (*Dzień dwieście czterdziesty dziewiąty*) albo jak radio Pionier, które odbiera Wolną Europę (*Dzień dwudziesty*), albo jak zatarta w pamięci wizyta Dziadka Mroza lub Świętego Mikołaja – „nie pamiętam” (*Dzień dwudziesty drugi*).

A życie płynęło. I nagle, zaledwie kilka „dni” później następuje przypadkowe spotkanie w Rynku, które zawróciło w głowie na tyle, że zdołało pomieszać wszelkie rejestry odbioru rzeczywistości, tworząc melanz ironii, intelektu i czułości. Bo jak inaczej myśleć o pierwszym przelotnym spojrzeniu, które pozostało w pamięci przez kolejne niemalże czterdzieści lat, jeżeli z jednej strony czytamy, że nawet w biegu, na ulicy można by przecież powiedzieć tej dziewczynie –

w skórzanej kurtce w zielonej sukience na wysokich obcasach [...] coś miłego, że świeci słońce, że jest dobrze i że ludziom żyje się dostatnio, a Polska rośnie w siłę (Dzień dwieście dziewięćdziesiąty dziewiąty),

ale zaraz potem dodać, że

[...] to było takie ładne, jak minięcie się dwóch sieci jak perła i fala, porównania z dawnych kalendarzy z butonierki. Trzymałem w niej dotąd buty i nie wiem, kiedy dzięki Tobie musiało się to tak nagle zmienić (Dzień dwieście dziewięćdziesiąty dziewiąty).

Liryka nie opuszcza tego języka, bo Waldemar Okoń jest poetą. Nie ma w tym codzienniku powszedniości dnia bez poezji – prawda, momentami zupełnie nieoczekiwanej, niemalże wczepionej, wżartej w rzeczywistość wbrew szarości ówczesnego Wrocławia. Wszak i wtedy docierały

[...] opowieści o odległych miastach, w których ludzie chodzą wieczorami do kawiarni i czytają książki po francusku. Angielski jeszcze nie istnieje, wiem, że muszę odbyć podróż dookoła świata, najlepiej na chmurze albo na pyle wulkanicznym, który spowija Wrocław czarnym całunem. Znowu zapchał się piec [...] (Dzień dwudziesty).

Czymże byłby dzień bez myślenia o tej podróży, dzień bez słów? To one tak naprawdę są *lifemotivem* tej książki:

Jestem nadal sam, wypełniam sobą słowa jakby zabrakło nagle ludzi bohaterów jednego dnia albo wielu tomów składających się na ich życie, na temat na małe opowiadanie (Dzień dziewiąty).

I wracamy do ludzi zapisanych słowem, bo w tych wszystkich zdarzeniach zdecydowanie najważniejsi są ludzie. To oni sprawiają, że kolejne dni toczą się tak, a nie inaczej, i że ich następstwo jest takie, a nie inne. Czasami widzimy ich utrwalonych na fotografiach zaczerpniętych z rodzinnego archiwum, które Autor zdecydował się umieścić w książce. Nie są te zdjęcia na siłę ilustracjami poszczególnych dni czy wydarzeń, do których sięga się pamięcią, ale raczej tłem epoki, choć w żadnym wypadku nie w sensie umniejszającym rolę fotografii. Mamy tu do czynienia z kilkoma podejściami do materiału ikonograficznego książki. Niewątpliwie jest to dokument, ale jest też sentyment i – czasami żartobliwe, czasami nieco złośliwe – puszczanie oka tak do czytelników, jak i do siebie samego. Niektóre z tych zdjęć, jak pierwszy portret gołego berbecia, siedzącego na pikowanej kołderce (*Dzień pierwszy*), obowiązkowe klasowe zdjęcie dzieci uśmiechniętych i przeszczęśliwych w swoich klotowych fartuszkach (*Dzień sto dwudziesty trzeci*) czy pamiątka Pierwszej Komunii (*Dzień dwieście czwarty*) zdecydowanie należy uznać za kanoniczne we wszystkich wspomnieniach. Niekiedy, jednak wydaje się, że są też wśród tych zdjęć takie, które nie zostały dobrane do zapisków, a właśnie je sprowokowały. Trudno jest wyjaśnić, jak to się stało, że drewniana zabawka była absolutnie najważniejsza danego dnia i stała się jego bohaterem, choć zupełnie zrozumiały (nie dla młodej generacji!) jest zachwyty ananasowym Schweppsem, pitym w Bułgarii podczas wyjazdu „na wkładkę paszportową do Sozopola” (*Dzień trzysta dwudziesty czwarty*).

Te wszystkie sytuacje odmierzają kolejne dni życia, nawet jeżeli układają się w niezrozumiałe dla odbiorcy sekwencje, jak chociażby rytualne odwiedziny w punkcie skupu makulatury (*Dzień dwieście siódmy*) – prezent od rodziców w postaci płyty długogrającej (*Dzień dwieście ósmy*) – całkowicie niepedagogiczna gra z ojcem w karty na pieniądze (*Dzień dwieście dziewiąty*) – nieoczekiwana wiadomość o ciąży przyrodniej siostry (*Dzień dwieście dziesiąty*). Nie chronologia tych wszystkich wydarzeń jest tu istotna, bo pamięć płata figle, myli się, każe wracać, antycypuje, szuka logiki, a tak naprawdę jest czysto surrealistyczna. To znowu ludzie, ci, którzy odchodzili w ciągu trzydziestu lat, i ci, którzy się pojawiali, żeby pozostać do dzisiaj, jak ta dziewczyna w skórzanej kurtce, a potem:

Córka, kurczę, pomyśleć, nie spodziewałem się tego, a więc Natalia, Karolina po babci na drugie imię, prezent dla mojej mamy, jak zawsze Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek, jak zawsze (Dzień trzysta dwudziesty siódmy).

To kolejny ważny dzień zamykający jeden, a rozpoczynający zupełnie nowy etap życia, ale ten poetycko-codzienny rocznik nie kończy się, bo Autor zapomniał o kilku kartkach z kalendarza. Twierdzi, że nieświadomie, ale czytelnik ma sporo kłopotu z odpowiedzią na pytanie, dlaczego *Rok 1983* zakończył się na dwa dni przed sylwestrem. A może powróci jak echo? Bo przecież:

Poeci nadal umierają, gwiazd jest coraz mniej na niebie, spadają i uciekają od siebie, mam w kieszeni srebrny pieniążek na szczęście, mam swoje życie przypięte złotą nitką do ciebie, tak już pozostanie, nie zmieniamy tego codziennie, rodziłem się przez ten rok od nowa, od początku i muszę teraz odejść w inne słowa, do innego kraju, którego jeszcze nie ma (Dzień trzysta sześćdziesiąty trzeci).